

Tymieniecki, Kazimierz

O narocznikach i ... nie o narocznikach

Przegląd Historyczny 51/3, 566-581

1960

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

KAZIMIERZ TYMIENIECKI

O narocznikach i ... nie o narocznikach *

Nie tak dawno piszący te słowa wydał pracę dość obszerną pt. „Narocznicy w gospodarstwie feudalnym. Studium do dziejów gospodarczo-społecznych wczesnego średniowiecza”¹, a w związku z tym powstał również artykuł dla „Słownika Starożytności Słowiańskich” pt. „Narocznicy”, który z racji alfabetycznego układu wydawnictwa może się dopiero później ukazać w druku. W tym samym roku, co praca wymieniona na początku, ukazało się inne jeszcze studium pt. „Przemiany w ustroju polskiej wsi wczesnofeudalnej”² dość blisko z pracą poprzednią związane. Wydane w latach 1958 i 1959 dwie prace i artykuł o smardach albo smerdach polskich i słowiańskich³ stanowią już odleglejszą całość z pracami wyżej wymienionymi. Myślę jednak, że wszystkie te pięć studiów (i 1 artykuł), jakkolwiek nie dają jeszcze pełnego obrazu całości stosunków chłopskich w naświetleniu piszącego⁴, to jednak przynajmniej częściowo zadanie to spełniają, a to tym bardziej, że są one zakończeniem względnie kontynuacją prac dawniejszych⁵. Wspominam o tym w szczególności dlatego, że nowa ta serja studiów z dziejów wczesnośredniowiecznych „chłopów” — wobec braku zamknięcia klasy chłopskiej w tym czasie sama nazwa ta wymaga pewnych omówień — połączona jest pewnym wspólnym zadaniem, które nie jest chyba bardzo trudne do wykrycia. Nie uprzedzając bynaj-

* Artykuł ten jest odpowiedzią na artykuł Karola Buczka, *Zagadnienie polskiego naroku*, „Przegląd Historyczny” t. L, z. 4, 1959, s. 665—697.

¹ W „Pracach Komisji Historycznej PTPN” t. XVII, zes. 3, stron 128, Poznań 1955.

² W „Kwartalniku Historycznym” t. LXII, nr 3, s. 3—35, Warszawa 1955.

³ Są to prace następujące: 1. *Uwagi o smerdach (smardach, smurdach) słowiańskich*, *Studia Historica (w 35-lecie pracy naukowej Henryka Lowmiańskiego)*, Warszawa 1958, s. 105—136. 2. *Smardowie polscy. Studium z dziejów społeczno-gospodarczych wczesnego średniowiecza*, „Prace Komisji Historycznej PTPN” t. XVIII, zes. 2, s. 54, Poznań 1959. Wreszcie artykuł pt. *Smerdy, smardy, smurdy*, „Słownik Starożytności Słowiańskich”. Zeszyt dyskusyjny, Wrocław, s. 24—25.

⁴ W tym czasie ukazująca się literatura naukowa wywiera zarówno wpływ na kształtowanie się tego poglądu, jak również wymaga ustosunkowania się do przedstawionych tam wyników, że wymienimy tylko przykładowo obszerną pracę Włodzimierza Wolfartha, *Ascripticii w Polsce*, „Studia nad historią państwa i prawa”, s. II, t. VIII. Wrocław—Kraków 1959, s. 256.

⁵ Na ciągłość tych prac zwracam uwagę w komentarzach do *Pism Wybranych*, Warszawa 1956, s. 112—126, 156, 204, 272—288, 307—309, oraz przedmowa, s. 5—33. Por. też H. Lowmiański w „Nauce Polskiej” VI, nr 1 (1958), s. 77—89 i J. Adamus w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” t. X, z. 1 (1958), s. 29—65.

mniej wyników, ale w trakcie wglębiania się w materiał źródłowy, poszczególne pozycje kwestionariusza zastosowanego przeze mnie same się właściwie określają. W tytule pierwszej z tych prac gospodarstwo feudalne (inaczej możemy je nazywać także dominialnym, tj. że w poprzednim wypadku kładziemy większy nacisk na przemiany w całości stosunków społeczno-gospodarczych, a w drugim na same formy wielkiej własności)⁶ było podkreślone i to w związku ze spotkanymi właśnie narocznikami. Wspomnę jeszcze, że obok powstawania dominium interesowało mnie również przejście od życia wiejskiego do miejskiego. Dałem temu wyraz w oddzielnych pracach⁷. Punkt wyjścia był właściwie podobny, tj. że tak jak w poprzednim wypadku chodziło o dominium feudalne jako nową formę społeczną, to w obecnym razie nieobce były powiązania między wcześniejszym rzemiosłem wiejskim i późniejszym miejskim, a to w ramach ścisłej przynależności miast do obrazu społeczeństwa feudalnego z końcowego średniowiecza.

Związki powyższe w obydwóch wypadkach tym silniej podkreślam, że zdawanie sobie z tego sprawy w dalszej dyskusji wydaje się rzeczą konieczną. Musimy bowiem zająć stanowisko wobec samego procesu badawczego. Nie chodzi tu co prawda o interpretację faktów poszczególnych, czy nawet określonych miejsc w wykorzystanym źródle. W takich bowiem wypadkach pewna samodzielność patrzenia może być potrzebna, o ile naturalnie nie wyjdziemy poza granice możliwości epoki skądinąd dających się stwierdzić. Uwaga powyższa jest tylko teoretycznym rozważaniem i przeciw nikomu szczególnie się nie zwraca. Zrozumienie jednak problematyki wysuwanej przez samego autora tak jak to on sam właśnie pojmował, a nie podsufwanie mu czegoś zupełnie różnego, trzeba chyba uszanować. Dodam jeszcze, że traktowanie poszczególnych problemów w łączności z większym zespołem faktów, do których one bezsprzecznie mogą i winny być nawiązane, daje z reguły w badaniach, a tak samo w dyskusjach naukowych dobre rezultaty. Sądzę, że dotyczy to nie tylko przeszłości, w tym również odleglejszej, ale że tak samo jest zupełnie wobec otaczającej nas współczesnej rzeczywistości, którą lepiej poznać i zrozumieć pragniemy. W badaniach takich trudno jest niejednokrotnie oddzielić się ścisłymi granicami terytorialnymi czy nawet narodowymi, gdyż podobne zupełnie procesy znajdziemy również u sąsiadów. Tylko zespół tych podobieństw nie zawsze musi być ten sam w znaczeniu przede wszystkim geograficznym, tj. ten właśnie moment może ulegać zmianom w różnych epokach. To właśnie miałem na myśli w moim referacie na kongres rzymski przed pięciu laty⁸. Wniosek ostateczny jest więc taki, że w analizie źródła na pierwszym miejscu jest zawsze to, co w nim istotnie się mieści i to co środkami będącymi do dyspozycji da się wydobyć, co może być jednocześnie ostrzeżeniem przed wyinterpretowaniem ze źródeł rzeczy, których tam nie ma. Dla samego jednak kwestionariusza, a w dalszym ciągu dla odpowiedniego zaszeregowania wydobytych ze źródeł faktów, należyta szerokość rozglądu w sto-

⁶ W sprawie feudalizmu por. *Początki feudalizmu w Polsce, Pamiętnik VIII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich* t. I, Referaty (Warszawa 1958), s. 5—13 oraz t. II. Dyskusja, *Problemy feudalizmu* w „Rocznikach Historycznych” t. XXV, z. 1, Poznań 1950, s. 35—64, tam również nawiązania do prac dawniejszych, a obok tego zwrócenie uwagi na zmiany w słownictwie stosowanym.

⁷ W tym wypadku w szczególności: *Organizacja rzemiosła wczesnośredniowiecznego a geneza miast polskich*, „Studia Wczesnośredniowieczne” t. III, Warszawa-Wrocław 1955, s. 9—86 oraz komentarze w *Pismach Wybranych*, s. 229—241.

⁸ *Le servage en Pologne et dans les pays limitrophes au Moyen Âge* w dziele zbiorowym *La Pologne au X Congrès International des sciences historiques à Rome*, Warszawa 1955, s. 5—28.

sunkach własnego kraju i krajów sąsiednich, a niekiedy nawet i krajów odleglejszych, jest wysoce użyteczna⁹.

W pierwszych zaraz zdaniach rozprawy K. Buczka, zamieszczonej w „Przeglądzie Historycznym” w roku ubiegłym, z łatwością możemy rozpoznać przyjęcie odmiennego punktu widzenia¹⁰. Jest on może na ogół bliższy pewnym dotychczasowym stadiom tej dyskusji, ale nie uwzględnia zupełnie wybranej przez nas już poprzednio, a przypomnianej w tej chwili, zasadzie łączności danej instytucji z całością stosunków gospodarczych i społecznych danej epoki i to zarówno tych, które są dziedziczne z okresów poprzednich, jak i tych, które reprezentują dokonywane się w nich zmiany. Dlatego też nasz oponent mówi o „badaniach zmierzających do wyjaśnienia wymienionej w tytule instytucji” (tj. naroku), które, jak sądzi, „rozwijały się pod niedobrą gwiazdą”. Stylistyczne zapewne tylko odwołanie się do astrologii można by uznać za posunięcie niezbyt szczęśliwe, choć z pewnością nie jest to jeszcze najgorsze z innych właściwości stylu K. Buczka, na co już poprzednio zmuszony byłem zwracać uwagę¹¹. Ważniejsze jest rzeczowo to, że już

⁹ Na pierwszą krytykę Karola Buczka pt. *W sprawie interpretacji dokumentu trzebnickiego z r. 1204*, zamieszczonej w „Przeglądzie Historycznym”, t. XLVIII, z. 1, 1957, s. 38—77 odpowiadałem w „Rocznikach Historycznych” t. XXV, z. 1 (Poznań), s. 143—161; w dalszym ciągu omówienie pozostałych recenzji mojej pracy o narocznikach, a więc kolejno Wł. Pałuckiego (częściowo krytyczna, co jest zrozumiałe, zwłaszcza, że autor, który wkrótce później wydał obszerną książkę na temat naroczników, reprezentuje sam odmienną teorię, ale w innym tonie pisaną), a następnie profesorów Karola Maleczyńskiego i Juliusza Bardacha, z którymi porozumienie okazało się o wiele łatwiejsze. Nie uwzględniłem jedynie recenzji W. Hejnosza, która ukazała się dopiero później, a wymaga w jednej swej części sprostowań, tak że w mojej odpowiedzi mogła być tylko sygnowana w końcowym dopisku, tak samo jak i ukazanie się zapowiadanej książki Pałuckiego. W tym samym wciąż artykule wspomniałem również o recenzji E. B. Fryde’a w „English Historical Review” (z kwietnia 1959 r.), a nawet dla jej zwiezłości pozwoliłem sobie umieścić ją tamże w ostatnim przypisku, a to w nadziei, że ten głos z odmiennego środowiska może podziałać uspokajająco na niesłusznie wzburzone umysły, a to w tych wypadkach gdy w istocie miało to miejsce. Pan Fryde, wraz z Levitterem i innymi, śledzi również wydawnictwa historyczne polskie z ramienia centralnego organu historiografii angielskiej. Według informacji, otrzymanej już poprzednio od prof. Deatina’a z Oxfordu, działalność ta jest wynikiem pracy ośrodka londyńskiego polonistyki. W powyższej przytoczonej recenzji najważniejsze jest to, że angielski obserwator zauważył od razu co jest najbardziej istotne w charakterystyce dominium trzebnickiego i nie zatrzymał się przy sporach, które, jak to zobaczymy jeszcze dalej w głównym tekście, doprowadzą do impasu najbardziej burzliwego ich protagonistę.

¹⁰ „Przegląd Historyczny” t. L, z. 4, s. 665.

¹¹ Dyskusja z dr K. Buczką, w związku z jego artykułem pt. *W sprawie interpretacji dokumentu trzebnickiego z r. 1204* („Przegląd Historyczny” t. XLVIII, z. 1, Warszawa 1957, s. 38 i nast.) przeprowadzona została w „Rocznikach Historycznych” t. XXV, z. 1, Poznań 1959, s. 143—165, co stanowi większą część zamieszczonego tam artykułu pt. *O interpretację dokumentów trzebnickich* (część dalsza, do s. 171, poświęcona została innym dyskusjom). W poprzednim artykule dr K. Buczek podsuwa mi często poglądy zgola niewypowiedziane, co w pierwszym rzędzie wymagało sprostowań. Rzeczą bardziej nieprzyjemną i w dyskusjach naukowych nie praktykowaną jest podsuwanie recenzowanemu autorowi jakichś z góry powziętych „zamiarów” (patrz zaraz na stronie pierwszej powyższej odpowiedzi, ale również i w dalszym ciągu). W rezultacie autor recenzowanej pracy musi wciąż zajmować stanowisko podobne do zajmowanego w czasie śledztwa i baczyć, żeby coś z tych przypisywanych „zamiarów” nie przyłgnęło do niego w opinii czytelnika. Każda rzecz odmienna od wytworzonego sobie o danej rzeczy poglądu przez dr K. Buczka traktowana jest zaraz jako „subiektywistyczna”, jakkolwiek do takich denominacji recenzent zgola nie posiadał podstaw. W ten sposób rzeczową dyskusję

z przytoczonej części zdania jest widoczne, że w naroku, interesującym nas wspólnie, a to mimo odmiennego sposobu do niego podejścia, widzi „instytucję” jak gdyby pozostającą poza ściślejszym określeniem czasu i przestrzeni. Rzecz wystąpi jeszcze jaśniej dla każdego, jeżeli zwrócimy uwagę na drugą również część tego samego wciąż zdania, wprowadzającego do całości wywodów autora. Czytamy tu: „opierały się bowiem (dotychczasowe badania) przede wszystkim na dociekaniach etymologicznych” (co ma niewątpliwie służyć jako wyjaśnienie owej „niedobrej gwiazdy”). W zdaniach następnych jest do tego jeszcze komentarz, że najdawniejsi autorzy, a więc ci sprzed lat stu byli na to niejako z góry skazani, gdyż nie rozporządzali pewnym materiałem źródłowym. W związku z powyższym zarzut bardziej jeszcze obciąża autorów późniejszych, którzy mimo lepszego już udostępnienia materiału źródłowego pozostawali przy interpretacji idącej „po linii z góry powziętej i w pierwszym rzędzie na filologicznych argumentach osnutej teorii”. Do sprawy samego podejścia do źródeł powrócimy za chwilę, a najpierw zatrzymajmy się przy tak silnie podkreślonych „teoriach” osnutych na filologicznych argumentach, gdyż właśnie w tym miejscu to, co sami tak niedawno wypowiedzieliśmy w tej sprawie najbardziej odbiega od obrazu roztaczanego przed oczami czytelnika przez autora.

W pracy o „Narocznikach w gospodarstwie feudalnym” (z podtytułem „Studium z dziejów gospodarczo-społecznych wczesnego średniowiecza”) na s. 106 i n., a więc w ostatniej części pracy (tekst całości kończy się na s. 111) pisaliśmy co następuje: „Nasze wytłumaczenie naroczników opierało się, jak dotąd, wyłącznie na danych historycznych i w związku z tym główną wytyczną była dla nas zgodność wytłumaczenia z tekstami źródłowymi. Dane te zresztą staraliśmy się wciągnąć w tok ogólnego procesu historycznego w ramach całości wczesnej formacji feudalnej. Mówiąc o narocznikach nie można jednak pominąć także samej ich nazwy, a to tym bardziej, że wyszła ona już rychło z użycia i tym bardziej dla ... [nas] stała się niezrozumiała. Stąd też powstały wszystkie próby wytłumaczenia instytucji z pomocą etymologii. Wyżej (*passim*) staraliśmy się na to wskazać, że próby te bez uprzedniego przygotowania wychodzącego od samych źródeł skazane są właściwie na niepowodzenie”. W ten sposób również na stronach następnych, do których odsyłam każdego, który miałby w tym jeszcze jakieś wątpliwości. Można przy czytaniu wywodów K. Buczka przetrzeć oczy ze zdziwienia. Nie ja chyba stroilem się przed paru laty w cudze piórka, skoro pisałem to o parę lat wcześniej.

Sprawą stosunku źródeł do etymologii zająłem się na wskazanych wyżej ostatnich stronach pracy, na co K. Buczek zupełnie jakby nie zwrócił uwagi i ogranicza się na s. 666 (druga strona pracy) do przytoczenia innej, bardziej przygodnej zapewne wzmianki ze s. 19 mojej pracy, gdzie wypowiedziałem się zasadniczo w tym samym co następnie duchu, jakkolwiek ograniczając się do pewnego tylko konkretnego wypadku. Ten zaś szczególny wypadek o tyle może zasługiwać na uwagę, że

bardzo łatwo jest zastąpić nadawaniem atrybutów, które mają obezwładnić i zdyskredytować przeciwną stronę. Długi szereg jest też zwykłych nieporozumień, których tutaj nie będziemy powtarzać ograniczając się wyłącznie do dyskusji z drugim z kolei artykułem tegoż dr K. Buczka pt. *Zagadnienie polskiego naroku* („Przełęcz Historyczny” t. L, z. 4, Warszawa 1959, s. 665—697), mającym charakter ogólniejszy i stanowiący niewątpliwie postęp tak w treści jak nawet i w formie. W sprawie szeregu różnic rzeczowych w poglądach K. Buczka i moich, wychodzących zresztą poza sprawę naroku i dotyczących głównie okresu pośredniego między starszym prawem książęcym i późniejszym „prawem niemieckim” (w okresie immunitetu) odsyłam do cytowanej wyżej mojej pierwszej odpowiedzi K. Buczkowi, a m. in. również i dlatego to czynię, ażeby czytelnik nie myślał że na owych z górą 20 stronach o same tylko jałowe spory chodziło, do których tylko z największą niechęcią dają się wciągać.

na przykładzie przytoczonym przeze mnie wystąpiły właśnie niebezpieczeństwa oderwania się od samej tylko analizy źródłowej. Miało to zresztą na celu nie tyle prowadzenie walki ogólnej z etymologiami, ile przypomnienie konieczności ścisłego trzymania się podstawy źródłowej. Wszystko to co powiedziałem na owej stronie 19 podtrzymuję w zupełności, tak samo jak podtrzymuję, w postaci wówczas wypowiedzianej, uwagi dotyczącej znaczenia i zakresu etymologii naroczników w cytowanej części końcowej pracy. K. Buczek z właściwą sobie przedziwną konsekwencją robi z tego wszystkiego powód ataku, że ja właśnie, choć *expressis verbis* to stwierdzam, czynię jakoby inaczej, nie dając zresztą na to najmniejszego nawet dowodu. Wbrew K. Buczkowi sądzę, że sama sugestia słów tu nie wystarcza. W szczególności nie znajduję na to żadnego dowodu również na wymienionej s. 19 i tak samo w łączności z poprzedzającą s. 18, gdzie w związku ze wspomnianą tam polemiką między F. Bujakiem i Z. Wojciechowskim wystąpiły w istocie w tym wypadku pewne braki oderwania się od podstaw źródłowych. Nie sądzę nawet, ażeby sam K. Buczek był innego zdania. Chodzi mu więc nie o wypadek szczegółowy, lecz chyba o jakieś *generalia*, ale o jakie — o tym sam zgoła nie uważa za stosowne słowem choćby napomknąć. Uważa więc widocznie, że wystarczy dla czytelnika wygłosić powyższego rodzaju werdykt, ażeby wszyscy w słowa K. Buczka musieli uwierzyć. Z wypadku tego wynikałoby, że zbyt nisko ocenia zdolność do krytycznego myślenia swoich czytelników.

W tej chwili przejść od samego stosunku do krytyki źródłowej jest wciąż jeszcze za wcześnie, gdyż pierwszej musimy dokończyć sprawę stosunku do etymologii. Otóż myślę, że jakkolwiek K. Buczek przedstawia siebie, jak to widzieliśmy, jako jedyne prekursora walki z lekkomyślnym często żonglowaniem etymologiami, to w gruncie rzeczy nie tylko nie jest prekursorem — piszący te słowa zwracał uwagę na znaczną rolę, jaką w tym wypadku odegrał już O. Balzer¹² — ale w dużej części tkwi wciąż w dawnych błędach, a wykazanie tego nie wymaga nawet znacznego wysiłku. Wynika to zresztą w pewnej części już z zajętego przez niego stanowiska metodologicznego. Badacz ten swą „dobrą gwiazdę” widzi w tym, że bada wymienioną w tytule swej rozprawy instytucję naroku jako tak dalece gotową i niezmienną, że na stwierdzenie tego faktu niepotrzebna mu jest właściwie podstawa źródłowa, o czym zresztą bliżej wkrótce później. Również i w nazwie instytucji skłonny jest widzieć coś zgoła niezmiennego. To zaś jest wręcz przeciwne od tezy, której dotąd broniłem i której skłonny jestem bronić również w dalszym ciągu.

Zacznijmy jednak od *status causae* i to nie tylko w sprawie naroku i naroczników, ale również i w wypadkach analogicznych, gdyż to pozwoli nam lepiej się zorientować w tendencjach panujących w nauce współczesnej, a które, choć moglibyśmy je przyjąć lub nie przyjąć, nie tracą swojego znaczenia już choćby jako materiał porównawczy. Znany badacz czeski Vladimír Procházka w artykule poświęconym dwu instytucjom prawa słowiańskiego noszącym nazwy *posluchъ* i *vidokъ*, przeprowadzając krytykę poglądów dotychczasowych na te instytucje robi uwagę następującą: *L'erreur qui avait été commise consistait dans le fait qu'on avait voulu expliquer ces termes en ne leur donnant qu'un seul sens, ne tenant aucun compte du fait que leur emploi est le résultat d'une évolution historique dans laquelle ce même terme désigne graduellement plusieurs institutions variées et, dans notre cas, des formes variées de procédure de preuves*¹³. Ograniczenie zmienności tkwi

¹² *Narocznicy...*, s. 9, 10, 107.

¹³ „Byzantinoslavica” t. XX, 2, Prague 1959, s. 231. W artykule pt. *Posluchъ et vidokъ dans le droit slave*.

w wyrazie *graduellement*, tj. że zmiany te dokonywują się stopniowo, a więc że w danym czasie i danych okolicznościach można mówić o pewnej stałości znaczenia, bez którego wszelkie ustalenia byłyby trudne do osiągnięcia. Przyjmując jednak powyższą zasadę, nie możemy zamykać oczu na tkwiący w samych instytucjach, a jeszcze bardziej w ich określeniach moment zmienności. Najbardziej zmienny jest sam język, jak można się łatwo o tym przekonać na niezliczonych przykładach branych z życia codziennego. Ten sam wyraz, a zwłaszcza ten najbardziej potoczny, zmienia zupełnie swoje znaczenie zależnie od akcentu czy kontekstu osoby, do której zwracamy się i od okoliczności, w których to następuje. Nie wpływa to na jego strukturę leksykalną, która przez to nie przestaje być świadectwem określonej epoki czy określonego środowiska. To umożliwia sukcesy nauki językoznawstwa, nie wolne zresztą od przejściowych niepowodzeń i porażek.

Dlatego też przy korzystaniu ze zdobyczy językoznawstwa dla historii mniejszą byłbym skłonny przywiązywać wagę do oderwanych etymologii, rzucanych czasem dość lekkomyślnie w pustkę czasową i przestrzenną (np. oderwana etymologia miejscowej nazwy, nawiązująca do języka, który w danej epoce i w danym kraju według wszelkich danych, jakie posiadamy skądinąd, nie był w ogóle reprezentowany i wyciąganie stąd daleko idących następstw dla domniemanych, a raczej tylko urojonych migracji owego ludu), a dużo więcej zawdzięczamy w historii wnioskom ogólnym na podstawie zespolowego obfitego materiału opartym (np. w sprawie pokrewieństwa poszczególnych języków indoeuropejskich między sobą, a również ich historycznych relacji w czasach późniejszych). Ta właśnie, a nie poprzednia, metoda pozwoliła na prawdziwsze niż poprzednio zaszeregowanie a nawet umiejscowienie wieków ugrupowań etnicznych Europy. W szczególności dotyczy to Słowian, których niesprawiedliwie zgoła usiłowano lub zgoła dziś jeszcze usiłuje się pozbawić ich pierwotnej ojczyzny, jedynie możliwej wśród zepołu pozostałych ludów indoeuropejskich i zastępując ją krajami najbardziej peryferycznymi, które zupełnie nie odpowiadają stosunkom wzajemnego pokrewieństwa języków indoeuropejskich. Gdybyśmy, tj. nasi przodkowie, rzeczywiście przybyli do Europy gdzieś dopiero w w. IV, jak to zupełnie poważnie dziś jeszcze tu i ówdzie się mniema, mówilibyśmy z pewnością językami tureckimi czy mongolskimi, a nie słowiańskimi. Wraz ze wszystkimi istniejącymi powiązaniem między Germanami i Bałtami na północnym zachodzie w pierwszym a północnym wschodzie w drugim wypadku, a Ilirami i Trakami od południa (zachodniego w pierwszym, a wschodniego w drugim wypadku). Piętą Achillesową językoznawstwa branego w całości jest tylko chronologia, zwłaszcza absolutna, gdyż na chronologię względną łatwiej się zgodzić, a pewną przywarą większości językoznawców, choć nie wszystkich, jest niechęć do powoływania się na dające się materialnie uchwycić źródła, na których się opierają.

Skoro jednak w ten sposób załatwiliśmy po drodze swoje rachunki z językoznawcami, to teraz z kolei wypada załatwić te sprawy z historykami i prawnikami, a w szczególności z tymi ostatnimi, gdyż oni przez długi czas wykazywali najwięcej tendencji do petryfikowania rzeczy tak niemal „tęczowo” zmiennej, jaką jest słowo. Charakteryzowało to w szczególności dawniejszą szkołę historii prawa, której dziełem w dużej części było wytworzenie zasadniczych pojęć naszej historiografii gospodarczej i społecznej. Do najbardziej cenionych i wysoko stawianych przeze mnie za swe prace i ich wyniki należał zawsze O. Balzer, ale właśnie i jego dotyczy w pewnej części powyższy zarzut. Wskazałem już tego przykład na współczesnych i społecznie dość bliskich narocznikom smerdach, a właściwiej, gdy chodzi o tę grupę występującą w Polsce, smardach. Smerdów (używam tutaj, podobnie jak

O. Balzer, najbardziej rozpowszechnionej nazwy ruskiej) uważał jednak autor ten błędnie za właściwych tylko samej Rusi, a prócz tego jeszcze Miśni (ta tworzyłaby zupełną wyspę w rozprzestrzenieniu danej instytucji, niemożliwą właściwie do wytłumaczenia), a zasłaniał się w tym wypadku również opinią Józefa Peiskera (poza tym mocno przez niego, dla wygłaszanych przez niego opinii i teorii naukowych, zwalczanego)¹⁴. Na innym miejscu starałem się wykazać, a dowody podane były, zdaje się, w zupełności wystarczające, że było w gruncie rzeczy inaczej i że rozpowszechnienie smardów, smurdów i smerdów — pod tymi więc mało różniącymi się nazwami — było wśród Słowian bardzo znaczne. W oddzielnym studium o smardach polskich zająłem się bliżej ich rolą i znaczeniem w Polsce na podstawie interpretacji przechowywanych świadectw, ale jednocześnie zwracając na to uwagę, że ta sama klasa ludności w większości nawet wypadków mogła występować pod innymi nazwami, a mianowicie pod łacińskimi nazwami *haeredes* i *possessores*, co wobec panującej w dokumentach polskich łaciny było rzeczą zupełnie zrozumiałą. Spór o rozpowszechnienie smarda w różnych krajach słowiańskich, mimo że sama liczba świadectw nie jest równa, wypadł stanowczo na niekorzyść Balzera, a jego naukowy kontrpartner, choć mylnie połączył smarda ze swą przez wszystkich, w tym za Balzerem, odrzuconą teorią o niewoli słowiańskiej (wobec Turków i Germanów), w sprawie samego rozpowszechnienia smerdów miał właśnie rację¹⁵.

W danym wypadku musimy jednak szczególną zwrócić uwagę na jeden jeszcze, wcześniej już sygnowany punkt dyskusji, a mianowicie czy miano smerdów było — tak się wyraża O. Balzer — nazwą urzędową¹⁶. Podobny sposób widzenia jest właściwy dzisiaj K. Buczkowi, który zgodnie ze starą szkołą prawa jest pod sugestią nazw obowiązujących, a więc niejako urzędowych i w ten sposób widzi całe grupy społeczne. W związku z tym pozostaje jego obojętność dla wszelkich dochodzeń czym w gruncie rzeczy była dana grupa społeczna w stosunku do innych grup i do zwierzchności dominialnej, o ile tę w istocie stwierdzić możemy — w wypadku smerdów nie musi to zachodzić, a przynajmniej kwestia ta jest wciąż sporna, inaczej mówiąc nie wszyscy uczeni za nią się wypowiedzieli¹⁷ — jakie jej było położenie gospodarcze, a również czy w niej nie zachodziły przemiany i jakie czynniki na te możliwe przemiany się składały (np. liczenie się lub nieliczenie z dotychczasowym zwyczajem, możliwość i warunki jego przemian, wreszcie nawet określona polityka dominialna). To są wszystko problemy, które dotyczyć mogą dziejów społecznych i gospodarczych kraju, a które dadzą się również zestawiać z podobnymi, czy częściowo różnymi, stosunkami innych krajów, a które są lub były niedostrzegane przez starą szkołę historii prawa, która raczej szukała wszędzie stałych instytucji i ich urzędowych nazw, jakkolwiek tych stałość może dziś budzić zastrzeżenia. Tylko, że stara szkoła prawa zachowywała więcej powagi w traktowaniu tych te-

¹⁴ O. Balzer, *O zadrudze słowiańskiej*. Odb. z „Kwartalnika Historycznego” t. XIII (1899), z. 3, s. 30 i nast.

¹⁵ K. Tymieniecki, *Uwagi o smerdach (smardach, smurdach) słowiańskich*, *Studia Historica*, s. 108 nn.

¹⁶ O. Balzer, op. cit., s. 30.

¹⁷ Dotyczy to również Rusi, a więc kraju o najbardziej rozpowszechnionej samej nazwie smerdów, gdzie zaznaczyła się zwłaszcza różnica poglądów między Grekowem (wolni pierwotni smerdowie) i Juszkowem (zależni smerdowie). Na zupełnie podobną różnicę zdań w sprawie dziedziców (*haeredes*) między Małeckim i Smolką z jednej a Piekosińskim z drugiej strony parokrotnie już, przy każdej niejako sposobności, zwracałem uwagę. Słuszność pierwszego z tych zdań da się obronić, ale tylko pod warunkiem jednoczesnego uwzględniania tworzenia się i rozwoju własności feudalnej (albo dominialnej).

matów i mniej nerwowości właściwej dzisiejszym jej naśladowcom. Niemniej dla nas więcej wspólności w sposobie traktowania przedmiotu możemy odnaleźć z młodszą szkołą prawa, której przykład przytoczyliśmy z sąsiedniego terenu czeskiego, gdyż wypadek stamtąd zaczerpnięty szczególnie się zbliżał do poruszanej obecnie tematyki i do sposobów do niej podejścia.

W świetle powyższych uwag wszelkie próby stabilizacji znaczenia naroku poprzez wiele stuleci, jak to czyni w szczególności Wł. Pałucki, budzić muszą jak najdalej idące wątpliwości. Ale również prowadzona przez K. Buczkę rzekoma kampania przeciw „etymologiom” i przeciw dawaniu tym pierwszeństwa, nie tylko że jest najzupełniej mylnie zastosowana do piszącego te słowa, a to zgodnie z przytoczonymi wyżej licznymi danymi sięgającymi samej podstawy wnioskowania, ale szereg danych wskazują również, że to co K. Buczek niesłusznie innym stara się przypisać bliżej właśnie z jego sposobem rozumowania się łączy. Z pominiętych zupełnie przez K. Buczkę końcowych części naszej pracy o „Narocznikach w gospodarstwie feudalnym” (s. 106—111) przytoczmy jeszcze parę dalszych miejsc szczególnie charakterystycznych. Nie mówiliśmy więc tutaj o „nazwach urzędowych”, ani nawet o stałych terminach wszędzie tam, gdzie chodzi o instytucje będące w stadium przetwarzania się. Przeciwnie pisaliśmy, gdy chodzi o język, że „wyrazy nie są ... jakimiś stałymi wartościami w znaczeniu semazjologicznym, lecz zależnie ... od okoliczności społecznych i historycznych ulegają zmianom”. Tak samo dalej, że „dopiero ... po ustaleniu ich historycznego użycia można się zastanowić nad ich w danym razie znaczeniem”¹⁸. Łączylśmy to w dalszym ciągu z tym „na jaką stronę funkcji społecznej danej instytucji położono szczególny nacisk”. Dla charakterystyki rzeczowej wskazywaliśmy na to, że „narocznicy widziani w źródłach współczesnych są ... bardzo bliscy posesorom, dziedzicom (drobnym) i smardom”, a w dalszym ciągu, że wraz z tamtymi wszystkimi ulegali „tym samym przemianom”, tj. że posuwali się „od samoistnych. (jedynie więc) od grupy rodowej (własnej) w życiu potocznym zależnych osadników”, w dalszym ciągu ku „rolnikom feudalnie zależnym”¹⁹ (w ciągu całej pracy można było się bliżej zapoznać z tym, jakie formy ta zależność przyjmowała). Wnioski te najzupełniej podtrzymuję i w jednym z najbliższych studiów specjalnych postaram się wskazać parę kolejnych chronologicznie dominiów z tego dość wczesnego jeszcze okresu, a więc w każdym razie przed wpływami tzw. prawa niemieckiego, w której to kolejności właśnie te przemiany w rządzeniu dominiów występują.

Wskazywaliśmy też, że sama nazwa naroku i naroczników nie od strony własności i posiadania mogła powstać. W dalszym ciągu dopiero łączyliśmy ich z wyznaczeniem daniny i czynszu, które były im właściwe i które odpowiadały znaczeniu samego wyrazu tu użytego. To co K. Buczek uznał za jakąś od początku złośliwie przed innymi ukrywaną myśl, ale mimo to będącą właściwym źródłem całej teorii, było w istocie tylko ostateczną konsekwencją wydobytą wprost z materiału źródłowego. Wydobytą mianowicie z materiału źródłowego zawartego w dokumencie trzebnickim z r. 1204, który jako jedyny wśród dokumentów klasztoru cysterek z tego okresu dawał nam dokładniejszy obraz stosunków wewnętrznych. Działo się to w dominium powstałym dzięki zabiegom księcia, będącego fundatorem samego klasztoru. W swej skończonej postaci było to jednak już dominium klasztorne. Bardzo wiele przejęto tu ze stosunków dawniejszych, w szczególności nowe przemiany, które nie dotyczyły w sposób widoczny naszych naroczników, nie były z tą

¹⁸ *Narocznicy...*, s. 106.

¹⁹ Tamże, s. 107.

przeszłością związane. W innych wypadkach występowały wprost jako przemiany aktualne lub nawet zamierzenia czy też przewidywania na przyszłość. Te nowe plany wiązały się już z nowym dominium. Wszystko to zresztą było już traktowane w poprzedniej pracy o narocznikach w gospodarstwie feudalnym. Obecnie zatrzymamy się jeszcze przy samej interpretacji źródła skoro sprawa ta, obok sprawy etymologii (por. wyżej), została przez K. Buczka poruszona i to w postaci częściowo różnej od tej, którą uważaliśmy za jedynie możliwą. Do tych miejsc przede wszystkim nawiązać wypadnie, mimo że wcale nie sądzę ażeby były one główną podstawą osądów K. Buczka, które wypływają raczej z podstaw irracjonalnych, tak dalece są wolne od wszelkiej troski o słuszne i sprawiedliwe ich oddanie. Wolimy się jednak ograniczyć do tych miejsc, w których jakaś rzeczowa dysputa jest możliwa, a to pomimo że i tu odnajdujemy nieoczekiwane skoki myślowe.

W tym samym jeszcze zdaniu, w którym K. Buczek mówi o moich wezwaniach ściślejszego trzymania się tekstów, w sensie raczej jednak przygany, gdyż, jak sądzi, dalszy ciąg nie odpowiada temu wezwaniu, występuje z zarzutem tyczącym się jakoby zawężenia podstawy źródłowej do trzech dokumentów trzebnickich²⁰. Otóż zarzut ten trzeba odrzucić dla tej prostej przyczyny, że do naroczników węgrynowskich, o których chodziło, właśnie te trzy dokumenty są jedyną podstawą. Czyżby K. Buczek nie rozumiał tego, że zanim zbudujemy wniosek ogólny musimy zacząć najpierw od wniosków szczegółowych, a dla tych nie tylko wystarcza, ale nawet jedynie możliwa jest własna podstawa źródłowa z natury rzeczy bardziej zawężona. To oczywiście nie przeszkadza, że z danych w ten sposób ustalonych możemy jeszcze w dalszym ciągu korzystać, ale odpowiedzialność za to spada już wyłącznie na te dalsze stadia naukowego rozumowania zupełnie nie dotycząc stopni poprzednich. W następnym zdaniu K. Buczek mówi o mnie, że przyjąłem „wbrew oczywistej wymowie dwu z nich” (tj. powyższych dokumentów) i w tym miejscu powołuje się na dokumenty z r. 1203 i 1208, że „osadnicy z Węgrynowa nie tylko byli ongiś (*fuerunt*), ale i pozostali nadal narocznikami”²¹. W tym przedstawieniu błąd mój może się wydać oczywisty, ale rzecz polega na tym, że samo przedstawienie tego miejsca w dokumentach z lat 1203 i 1208 nie jest pełne, a wskutek tego może być i jest mylące. Cytat zaczynamy od dokumentu z r. 1208, gdyż jest on tutaj pełniejszy, a przez to i dla zrozumienia całego tego miejsca bardziej miarodajny. Czytamy tu więc: *villa Wangrinou taliter est acquisita: homines quorum hec quondam fuit villa, narochnici Lubusenses fuerunt; quia tamen dominus Leonardus eam requirebat, benignitate magis quam rigore iuris cum ipso hoc modo transegi: villam nomine Lazcouici et villam de Kamene, quas numquam tempore patris mei de iure potuit obtinere, nomine commutationis ei contuli et ipse cum gratiarum actione de Wangrinou sancto Bartholomeo cessit*. Tekst, pisownię i znaki pisarskie przyjmujemy tu za ostatnim wydawcą K. Maleczyńskim²².

Sprawy przeszłości samych naroczników nie poruszamy tu bliżej, gdyż czyniliśmy to już dwukrotnie poprzednio. Stanowisko ich kiedyś mogło się zbliżyć do stanowiska wolnych dziedziców albo smardów, ale zwierzchność feudalna nad nimi zaczynała się już wyraźnie w okresie pretensji Leonarda (syna Świętosława a wnuka

²⁰ K. Buczek, op. cit., s. 666.

²¹ Tamże, loc. cit.

²² *Codex diplomaticus nec non epistolaris Silesiae* ed. Carolus Maleczyński et Anna Skowrońska, t. II. Wrocław 1959, s. 28, 29. Dokument, jak wiadomo, jest w dwóch ekspedycjach, które na ogół nie różnią się od siebie i w tym miejscu są najzupełniej (nawet literalnie) ze sobą zgodne.

Piotra Włostowicza). Dawniejsze jednak i pewniejsze były pretensje samego księcia. Wszystko to jednak ma dla nas tylko uboczne znaczenie. W związku z interesującą nas przemianą w położeniu naroczników miarodajne są jedynie wyrazy o nich, że *narochnici Lubusenses fuerunt*. To jest właśnie to określenie pełniejsze, o które nam chodzi. Byli więc narocznikami lubuskimi i tymi być przestali. K. Buczek nie zwrócił zupełnie uwagi na tę drugą możliwość, która wydaje się nawet znacznie bardziej prawdopodobna. Grody były nie tylko wojskowymi i administracyjnymi ośrodkami, ale również gospodarczymi, a dwory książęce powstawały obok grodów (w oddzielnych miejscowościach) i nie mogły ich całkowicie i od razu zastąpić. Nie sądzę również, ażeby była konieczność przeciwstawiania dominiów książęcych innym dominiom, a więc świeckim i zwłaszcza klasztorным (czy biskupim). Rozwój dominiów mógł wszędzie postępować naprzód i w tym właśnie znajduje swe odbicie proces feudalizacji całego społeczeństwa. Wszystko jednak przemawia za tym, że dominia klasztorne wybiegały naprzód w wielu wypadkach i z tym się wiązał właściwy całej tej epoce postęp gospodarczy od form wcześniejszych, w szczególności rodowo-patriarchalnych, do feudalnych opartych całkowicie na posiadaniu ziemi i to w formie zorganizowanej wielkiej własności. W pogłębiającej się feudalizacji społeczeństwa pierwszeństwo właściwych form feudalnych było rzeczą naturalną. Tutaj dotykamy już szerszych perspektyw gospodarczych i społecznych, ale wszystko to ściśle się łączy z kwestią w tej chwili blisko nas obchodzącą, tj. ze sprawą naroczników. W ten sam sposób, jak dokument z r. 1208, gdzie *expressis verbis* jest powiedziane, że ludzie z Węgrzynowa byli kiedyś narocznikami lubuskimi i nimi być przestali, należałoby rozumieć również dokument z r. 1203. Tutaj wprawdzie Lubusz nie jest wprost wymieniony i mowa jest tylko o służbie księciu, ale trudno wątpić że dotyczyło to tegoż samego Lubusza, o którym pięć lat późniejszy dokument pamiętał²³. Nie widzę żadnych przeszkód ażeby pojęciem *servitus* obejmować wszystkie służby gospodarcze, a więc w tym również i rolnicze²⁴. Walka Leonarda o Wę-

²³ *Codex diplomaticus nec non epistolaris Silesiae* t. I, Wrocław 1956, s. 246. Węgrzynowa dotyczy ustęp następujący: *Wgrinou hac ratione limitibus predii Trebnicensis ambitum est, quod homines, quorum illa villa quondam fuit, narochnici et domino terre servitutis obnoxii fuerunt. Quia tamen dominus Leonardus ipsam dixit esse suam, benignitate magis quam stricto iure cum ipso hoc modo egi. Villam, que dicitur Laczowichi et villam de Kamene, quas nunquam tempore patris mei potuit obtinere, nomine commutationis ei contuli et Leonardus cum gratiarum actione Wgrinou sancto Bartholomeo concessit, nichil sibi iuris in eo vendicans*. Do interpretacji tego miejsca, którym zajmowaliśmy się parokrotnie, nawiązywać będziemy jeszcze w tekście.

²⁴ Powołać się tu można na trzeci dokument trzebnicki (chronologicznie drugi), tj. na ten dla nas najważniejszy z r. 1204 pochodzący, który nazwaliśmy w jednej z dawniejszych naszych prac „najdawniejszą polską ustawą dworską”, którą ten sam wciąż fundator klasztoru, książę Henryk Brodaty wrocławski, na życzenie zakonnic wydał. (*Studia z historii społecznej i gospodarczej poświęcone prof. dr Franciszkowi Bujakowi*, Lwów 1931, s. 21—44 i dwie str. francuskiego). W odróżnieniu od innych dokumentów, które zajmują się głównie tytułami własności, dokument z r. 1204 poświęcony jest w całości ludności dominium i ciężarom przez nią, a raczej przez pojedyncze jej grupy, ponoszonym. Znajdujące się w cytowanej pracy tablice, wraz z dalej następującymi w tekście wyjaśnieniami, wyjaśniają szczegółowo sposób i wysokość obciążenia. Węgrzynowo, z jego narocznikami, znajduje się tam na s. 27, a na następnej s. 28 odnajdujemy Rozerowo, którego dwaj mieszkańcy ponoszą podobne ciężary, a choć wprost sami narocznikami nie zostali nazwani, powszechnie ich się z nimi zestawia, od czego nie odstępuje sam K. Buczek. W początku narracji dokumentu z r. 1204 ogół ludności podlegającej klasztorowi określony został wyrazami *ministeriales et famuli*. Według utartej terminologii, której trzyma się również K. Buczek, *ministeriales* ma oznaczać

grzynowo była przede wszystkim walką z prawami księcia, jak na to wskazuje odškodowanie, jakie książę decyduje się dać w postaci dwóch wsi, tj. Laskowic i Kamienia (późniejszej Ścinawy), a więc obiektów nawet znacznych, których wartość obniżał jednak sam fakt, że były one również sporne. Następowała więc swego rodzaju komasacja pretensji książęcych i Leonarda, co zresztą świadczy, jak zresztą wiele jeszcze innych miejsc w tych samych dokumentach trzebnickich, o znacznym zamęcie w zakresie samych tytułów posiadania. Można to tłumaczyć niepokojami politycznymi, jakie Śląsk przeżywał w okresie poprzednim, niemniej przeto dalszy rozwój dominiów, książęcych, świeckich i zwłaszcza klasztornych, wymagał koniecznej regulacji w dotychczasowym stanie posiadania. Nie można jednak również zapominać o ludności, która wsie te zamieszkiwała. W historii Węgrzynowa jest rzeczą widoczną, że z nią się przecież liczą, skoro o niej ciągle jest mowa i to nie tylko w dokumencie z r. 1204, w którym mowa jest przede wszystkim o świadczeniach ludności i ich regulacji, bądź w formie dotychczasowej, bądź również w postaci ulegającej pewnym przemianom, ale mowa jest również o niej w dokumentach z lat 1203 i 1208, w których ciężary i służby nie są stabilizowane bądź regulowane, lecz w których jest głównie mowa o tytułach własności, a również o historii wsi, która z tytułami tymi blisko się łączy i wreszcie, jak właśnie w wypadku Węgrzynowa, o ludności tych wsi i jej dziejach, co również z tytułami własności w pewnej mierze się wiąże. Podobny do tego obraz znajdujemy później w Księdze Henrykowskiej, gdzie właśnie, w okolicach podgórskich, później niewątpliwie zdominializowanych,

służebnych w tym znaczeniu, jakie nadawał temu wyrazowi jeszcze F. Piekosiński, a której trzyma się również K. Buczek. Mimo to nie ulega wątpliwości, a ze szczegółowych zestawień w tablicach również to wynika (patrz *Najdawniejsza polska ustawa dworska*, s. 25—30), że ogromna większość tej ludności nie tylko zajmowała się rolnictwem, ale również swe daniny panu dominialnemu składała w produktach rolnych. Były to niewątpliwie „służby”, ale w przeważnej części z gospodarstwami rolnymi związane. W szczególności dotyczyło to „gości” (*hospites*), najliczniejszych zresztą, ale obok tego również i naroczników. Stosunkiem „gości” do naroczników zajmowałem się szczegółowo w pracy *O narocznikach w gospodarstwie feudalnym*. Wyraźne oddzielenie obu grup tak co do nazwy, jak i sposobu obciążenia, czyli że w istocie byli odrębnymi grupami, nie może ulegać wątpliwości. To właśnie atakuje K. Buczek, a ściślej biorąc takie postawienie sprawy w szczegółach zgodne z wymową samego dokumentu, twierdząc, jak wiemy, że byli to tylko dawni narocznicy, do czego jednak nie ma ani formalnych, ani materialnych podstaw. Nie wyjaśnia również kim oni właściwie zostali, skoro jakoby przestali być narocznikami i dlatego nie wykazują żadnych podobieństw z główną grupą pozostałych rolników, tj. z gośćmi. Dodajmy jeszcze, że obciążenie „gości” było większe od naroczników i pozostałych mniej licznych grup ludności, głównie spośród tych, którzy spełniali specjalne służby, a jest ich kilka dość znacznych grup i nic ich nie łączy z narocznikami. Wiadomo, że odrębne grupy tworzą również rzemieślnicy, różnych zawodów rybacy i łowcy (mniej liczni), trudniąc się obok tego rolnictwem, które wobec tego trzeba uważać za ich zajęcie dodatkowe. Wszystkie te rzeczy starałem się zresztą wyjaśnić, nie znajdując wcale zrozumienia u K. Buczka. Naroczników uważałem, jak wiadomo, za rolników starszego typu w zestawieniu z gośćmi — ci dopiero zaczynają się rozpowszechniać i do nich głównie należy przyszłość w gospodarstwie dominialnym — a przejęci byli narocznicy ze starszego gospodarstwa grodowego, początkowo więc tylko tam, czyli pod zwierzchnością księcia, co właśnie zbliżało ich do smardów, niewolnymi zaś w żadnym razie nie byli. Jak z obecnego tekstu już wiemy, zestawiałem ich z ruskimi „riadowiczami” [„riad” forma umowy, czemu odpowiadałby także narok, co ściślej jest wyznaczeniem (prawdopodobnie i „riad”, też jako zwyczaj, odpowiednio do późniejszego polskiego rządu i urzędu, umowy i chwały) niż naszą dzisiejszą umową]. To wszystko już dawniej obszerniej wykladałem, ale całej tej konstrukcji w obydwóch polemicznych artykułach K. Buczka trudno byłoby się doszukać. Nie mogłem się więc wyrzec przypomnienia tego choć w formie streszczenia.

stosunki były podobne do form starszych z terytorium trzebnickiego. To wszystko wskazuje, że odległość mieszkańców Węgrzynowa od smardów, dziedziców i posesorów, znanych nam skądinąd, nie jest zbyt wielka, a liczne postacie znane nam dobrze z Księgi Henrykowskiej, w rodzaju Głębów, Kołaczów czy Piroszów, żywcem nam się przypominają.

To właśnie tłumaczy nam powtarzające się o Węgrzynowianach zwroty w rodzaju *quorum illa villa quondam fuit*, choć byli jednocześnie do służby księciu obowiązani. Powyższy zwrot znajduje się w dokum. z r. 1203, a prawie identyczny z dokum. z r. 1208 *homines quorum hec quondam fuit villa*, co nie brzmi jeszcze wcale w stylu dominialnym. Jeżeli mimo to wciąż o tym się powtarza w dokumentach książęcych to jedynie w tym celu, ażeby stan ten niedawny skierować przeciw Leonardowi i jego pretensjom. Mógł książę na swój sposób utrzymywać lub zmieniać swój stosunek do, powiedzmy, smardów miejscowych i mógł później wszystkie swe prawa przelać na popierany żywo przez siebie klasztor żeński, z czasem najlepsze oparcie dla córek książęcych i innych członków jego rodziny i bliskich płci żeńskiej, ale Leonardowi, czy komuś innemu występującemu z podobnymi pretensjami, nie było nic do tego. Mimo to pomiędzy ludnością Węgrzynowa a pozostałym ogółem smardów, a więc Kołaczów, Piroszów, Głębów i innych im podobnych była jednocześnie pewna różnica. Tkwiła ona w nazwie „naroczników” i w ich sytuacji opisanej w dokumencie z r. 1204. K. Buczek wprawdzie arbitralnie decyduje, że narocznicy z dokumentu wydanego w r. 1204 nie byli już narocznikami, ale przeciw temu świadczy właśnie sam dokument z r. 1204, w którym ludność Węgrzynowa ma właśnie jedynie to określenie naroczników. K. Buczek wprawdzie twierdzi, że chodzi tu o byłych naroczników, ale w samym dokumencie nie znajdujemy żadnego tego śladu. Nie jest w szczególności użyty wyraz *olim*, który — używany też do żywych ludzi zmieniających swój stan, a nie tylko o zmarłych — byłby w tym wypadku najodpowiedniejszy. Aktualnych, albo niedawnych naroczników znajdujemy również w dokumentach z r. 1203 i 1208, których wymieniałem w swojej pracy o narocznikach w gospodarstwie feudalnym, a co więcej właśnie narocznikom odpowiada nawet pewien typ gospodarczy, zupełnie podobny do węgrzynowskiego, który odnajdujemy w należącej również do klasztoru wsi Rozerowie, a co najdziwniejsze tych właśnie Rozerowian sam K. Buczek uznaje właśnie za naroczników. W stosunku do Rozerowian samo więc ich rozpoznanie następuje na podstawie właśnie ich świadczeń. Węgrzynowian uważa się więc za byłych tylko naroczników, a nie byłych tylko lubuskich naroczników, jak to my byliśmy skłonni przyjmować i odrzuca się związek ich jakkolwiek z ponoszonymi przez nich ciężarami, a jednocześnie pobliskich Rozerowian tylko właśnie na podstawie ich świadczeń, gdyż innych wiadomości w tym kierunku nie posiadamy, uznaje się właśnie za naroczników, a choćby nawet tylko byłych naroczników, co w niczym sytuacji powstającej nie zmienia. K. Buczek, który w swym bogatym słowniku chętnie używa takiego wyrazu jak absurd, zetknął się tutaj z tym pojęciem zupełnie blisko i jak sądzę nauczył się tutaj doceniać jego wagę.

Węgrzynowian, których znamy najlepiej i to nie tylko w gospodarstwie trzebnickim, ale także i poza nim, skłonni jesteśmy uważać za dawnych mieszkańców wsi, za czym i dane bezpośrednie zdają się przemawiać, tj. że swą dawną służbę dla grodu w Lubuszu musieliby wykonywać na znaczną odległość. Przy powstającym systemie beneficjów było to zwłaszcza możliwe nie tylko wobec bliższych, ale również i odleglejszych grodów. Po prostu, gdy chodziło o jakieś uposażenie, a wchodziły w grę w szczególności urzędy, realizowano to tam, gdzie otwierała się ku temu odpowiednia możliwość. Nie widzę zaś żadnego powodu, ażeby świadczenia gospo-

darce uważać za trudniejsze w tym wypadku do zrealizowania, niż np. wojskowe (por. teoria wojskowa). Myślę nawet, że było wprost przeciwnie. W każdym razie jedyni narocznicy, których znamy nie tylko z imienia lub też ze związku z określonym grodem, lecz również ze składanych przez nich świadczeń, dawali właśnie świadczenia gospodarcze. Na nowych ziemiach, w formie uposażeń, wygrywali może o tyle, że miejsce odległego niegdyś grodu np. w Lubuszu zajęły następnie centra gospodarcze bliższe. Takim też centrum gospodarczym w końcu został klasztor powstały w niezbyt oddalonej Trzebnicy. Właściwe epoce feudalnej, w zestawieniu z dawniejszymi wspólnotami, a w szczególności patriarchalno-rodowymi, zwiększenie zmysłu gospodarczego występowało i w tym wypadku. Typ gospodarstwa narokowego, reprezentowanego nie tylko przez Węgrzynowian, ale i przez Rozerowian, co niechcący uznali nawet przeciwnicy powyższego tłumaczenia, nie jest więc hipotezą, lecz stwierdzeniem źródłowym, a związaną w dalszym ciągu tego gospodarstwa z jego nazwą jest raczej interpretacją (a więc też nie hipotezą), która może być więcej lub mniej uznawana, ale powodów do jej zupełnego odrzucenia, jak dotąd nie ma. W każdym razie nie dostrzegam innej interpretacji, która mogłaby ją zastąpić. Pozostaje sprawa funkcjonowania powyższego systemu, czy może raczej zwyczaju administracyjnego, przed jego zupełną dominializacją przypadającą na czasy nieco późniejsze, ale której w pewnej mierze przygotowaniem był sam ów system.

Widzieliśmy, że Węgrzynowianie są *expressis verbis* określani we wszystkich dokumentach ich dotyczących i to również dla stanu współczesnego, a więc bez żadnych dodatków w rodzaju *quondam* lub *olim*, które pozwalająby odnieść to do czasu przeszłego, jako narocznicy, a z tego faktu wychodząc mogliśmy również i to nie tylko my, sprząc z nimi — dla samych ciężarów — także Rozerowian. W Węgrzynowie wszystkich 7 mieszkańców, tam stale przebywających, należało do naroczników. W Rozerowie domniemanych naroczników było tylko dwóch, a trzeci tamtejszy mieszkaniec wyraźnie został do gości zaliczony. Poprzednio bliżej już ustaliłem zestawienie ich z ruskimi „riadowiczami” (od *riad*, tyle co umowa, etymologicznie odpowiadający późniejszemu u nas „rzędowni” albo „urzędowi”, który stał się pospolicie stosowaną instytucją, jako tzw. „urząd ziemski”, też „ustawa” albo „chwała”, tj. w źródłach „fała” ziemska, gdy w XII/XIII w. był raczej zwyczajem wiejskim — toż co dominialny — gdy na ziemski było zawcześniej, a natomiast „obrocznik” ruski, etymologicznie prawdopodobnie bliższy narocznikowi, instytucyjnie był mu dalszy i do innej epoki należącej). Polscy „radiowicze”, czyli narocznicy, byli instytucją z pewnością starszą od gości i różnili się też od nich obciążeniem i słabszym jeszcze aklimatyzowaniem do rozwiniętego gospodarstwa dominialnego. W dalszym ciągu też zostali daleko przez gości prześcignięci. Związki też ich z epoką wcześniejszą były wyraźniejsze. Sądę, że właśnie z punktu widzenia gospodarstwa książęcego można by ten okres nazwać grodowym, tj. centrów grodowych w książęcym gospodarstwie napół publicznym a napół prywatnym, a to tym bardziej, że o rozwiniętym duchu publicznym (w rodzaju grackiej *politeji* lub łacińskiej *civitas*) trudno byłoby w tym wypadku mówić. Można by tu raczej mówić o instytucjach, które włoscy romaniści określają dzisiaj jako *preciviche*. Ażeby móc dojść do tych zestawień trzeba się było jednak na chwilę oderwać od podjazdowej sprzeczki, jaką się u nas stale wywiązuje, gdy się zetknąć z jedną z tych „puszek Pandory”, jaką stali się u nas niewinni temu i instytucyjnie wcale interesujący polscy narocznicy. Wyjście chociaż na chwilę na szersze forum europejskie, czy chociażby tylko słowiańskie stanowczo wywiera wpływ dodatni i dlatego nasze już tradycyjne kłótnie o naroczników stoją o tyle niżej od dysput prowadzonych chociażby przez O. Balzera i K.

K a d l e c a, a może nawet i Józefa Peiskera, który choć rzucał karkołomne zupełnie rozwiazania, ale szerszego rozglądu w krajach sąsiednich się nie wyrzekał.

Narocznicy byli stanowczo bliżsi okresowi nie tylko grodów, ale i smardów, tj. gdy system dominialny dopiero tu i ówdzie zaczynał ząbkować. W myśl zasady, że każdy winien swój towar chwalić, zwrócę na to jeszcze uwagę, że od początku do końca moi „riadowicze”-narocznicy obywają się prawie zupełnie bez hipotez, a więc w myśl zasady wysuniętej na wiosennej konferencji (1959) w sprawie tychże naroczników w Poznaniu przez prof. J. M a t u s z e w s k i e g o. Po prostu idziemy wciąż samymi tylko stwierdzeniami i co najwyżej interpretacjami miejsc bardziej do takiej interpretacji się nadających, a właściwie w ogóle w jakiegokolwiek dane poza znanym już dobrze wszystkim „jakims”, jak się w ostatnim czasie zwykle mówi, a więc bliżej nie znanym i nie rozumiałym jak dotąd związkiem z grodami. Nie komplikujmy jednak zbytnio sprawy, gdyż to nas właśnie prowadzi, o ile się temu wyraźnie nie oprzemy, do stawiania coraz to bardziej oderwanych od rzeczywistości i samych źródeł hipotez, jakkolwiek muszę dodać, że do szeregu tych miłośników hipotez za wszelką cenę (*pour épater les bourgeois*) nie zaliczam samego K. Buczka, który woli raczej wiele rumoru robić i rozdzierać szaty o niepopelnione winy, aniżeli się samemu narazić na zemstę nie tyle nawet skrzywdzonych ile wypopychanych kolegów. Dla niekomplikowania bez koniecznej potrzeby sprawy wystarczy przypomnieć, że punkt ciężkości stosunku naroczników do grodów nie leży wśród pierwszych, tj. naroczników, lecz właśnie w roli grodów. Mówiąc o innych grupach ludności można by taki sam alarm podnieść np. o dziesiętników, którzy wiążą się również z okresem przed rozwinięciem się i wykończeniem organizacji dominiów, a więc również w czasie gdy w organizacji życia gospodarczego, na stopniu zresztą dość prymitywnym z punktu widzenia samej organizacji gospodarstwa społecznego, większą rolę należało przypisać grodom.

Dziesiętnicy i narocznicy, jako grupy społeczne wcześniej się wyodrębniające, w zestawieniu np. z późniejszymi gośćmi i niektórymi grupami rzemieślników wiejskich (tokarzy, kołodziejów) dlatego właśnie w dawnej (sprzed wieku) literaturze naukowej byli ze sobą zestawiani, choć wynikało to z obserwacji jeszcze dość powierzchownej, która jeden fakt zależności od grodów brała za całość charakterystyki gdy w istocie różnice między narocznikami, mającymi ustabilizowane ciężary (por. ruskie „riady”) i co najważniejsze wolność osobistą, której, mimo nawet możliwych późniejszych ograniczeń, nie możemy zaprzeczyć nie tylko dla obawy zepchnięcia się znowu w sytuację zupełnie bez wyjścia — klasyfikacje samego K. Buczka przy zaliczaniu do wolnych lub niewolnych należą do najbardziej błędnych i zarazem chaotycznych, tak że nie mogę tu bliżej się nimi zajmować — ale również dla posiadanej już pewnej wiedzy co pojęcie wolności i niewoli w społeczeństwach wczesnohistorycznych (też na odpowiednim poziomie u ludów egzotycznych czasów nowszych) oznacza. Mimo więc znalezienia się w tej samej kompetencji grodów narocznicy związani blisko z wolnymi smardami i dziesiętnicy, w system liczbowy, właściwy niewolnym wepchnięci, a ich związek z niewolnymi i na innej drodze da się łatwo wykazać, okazywali podstawowe różnice, choć dziesiętnicy, jako niewolni książęcy mieli pewne możliwości podniesienia się społecznego. Naroczników, w pracy mojej pod tym tytułem, wiązałem zasadniczo z dobrami książęcymi, dla których w istocie typowość ich łatwo stwierdzić, a i sama łączność z grodami książęcymi, w pewnych wypadkach nawet odległymi, choć bynajmniej jej można tego przyjąć jako bezwzględnie obowiązującej zasady, stąd również wynikła. W miarę tworzenia się beneficjów urzędniczych, którymi nie bez powdzenia zajął się K. Buczek, tymi objęta została również ludność naroczna, o czym wiedział również piszący te słowa, jak

o tym świadczy ustęp w pracy o narocznikach w gospodarstwie feudalnym, nawiązujący do dokumentów klasztoru w Staniątkach, które, choć późniejsze od trzebnickich o parę dziesiątków lat, przynoszą również wiele informacji wartych zastanowienia i to wciąż do okresu poprzedzającego szerzenie się prawa niemieckiego na większą skalę, czyli, jak można by powiedzieć, w drugim stopniu rozwoju gospodarstwa dominialnego. Wersja o pomijaniu pewnych dokumentów i wynikających z nich faktów, a uprzywilejowywaniu innych jest z gruntu fałszywa. Prawdą jest jedynie, że same źródła, będące do dyspozycji, w nierównej mierze dawały się wykorzystać, a dłuższe zatrzymanie się nad niektórymi z nich miało właśnie na celu uniknięcie odwoływania się do hipotez, których kruchość już rychło miała się okazać. Nie można się również poddawać hipnozie samej nazwy naroku, o której już tak wiele i tak różnie pisano. W mojej pracy narok tylko przez pewnego rodzaju tradycyjność dostał się do tytułu, gdyż w pracy samej już tak nie dominuje jak to bywało dawniej, choć trzeba było dopiero cudzoziemca ażeby dostrzec tego znaczenie. Na przyszłość proponuję, ażeby przynajmniej w tytułach unikać tego wyrazu, dokoła którego tyle złych duchów niedawnej przeszłości zdołało się zgromadzić, że zdolne są nawet żywym życie utrudnić. To ułatwi nam również tę szanowną i miłą instytucję, gdyż bądź co bądź dającą niegdyś ludziom pracy pewien ład w życiu i zabezpieczającą przed zupełną dowolnością, ustawić na właściwym miejscu. Działo się to zaś w okresie z punktu widzenia dziejów społecznych i gospodarczych tak interesującym jak ten, który znalazł się pośrodku pomiędzy oddalającym się już czasem tworzenia państwa, z jego skutkami również społeczno-gospodarczymi, a nadchodzącym czasem zamknięcia się i zapanowania dominium feudalnego. W związku z tym o jednym tylko nie należy zapominać, a mianowicie że przebieg tego procesu historycznego nie był równoczesny w poszczególnych częściach kraju.

Wypada jednak, na samym końcu tych i tak przydługich może wywodów, wrócić raz jeszcze do naszego oponenta i jego ostatecznych konkluzji. Zacznijmy od cytaty dosłownej. Pisze autor: „Chcąc powiedzieć coś konkretnego o «zawodzie» naroczników trzeba, jak sądzę, oprzeć się przede wszystkim na danych dokumentu Wstydliwego z r. 1254. Choć bowiem jego terminologia jest wadliwa, to jednak podaje on mnóstwo interesujących i poza tym niespotykanych informacji oraz...” (w tym miejscu niech będzie wolno przerwać cytat, gdyż zakończenie zdania wymaga oddzielnej odprawy). Co robi nasz autor? Robi dosłownie to samo, co inkryminował piszącemu te słowa, tj. że ośmielił się poświęcić szczególną uwagę jednemu tylko dokumentowi z rzekomym niedocenianiem czy pominięciem innych. Cały więc atak w kawalerską furjã prowadzony zamienia się niespodziewanie w przejęcie od wroga, gdyż w ten sposób K. Buczek z reguły traktuje swoich przeciwników, jego własnej taktyki. W podobnym jak dwie krople wody postępowaniu, gdy chodzi o sam wybór przedmiotu, są jednak poważne różnice, gdy chodzi o okoliczności głównemu faktowi towarzyszące. Najpierw więc to, że wybrany przez K. Buczkę dokument staniątecki jest o okragłe pół wieku późniejszy od dokumentu trzebnickiego wybranego przez nas, co w tym czasie przyspieszonych przemian nie jest to bez znaczenia, a następnie że sam przekaz dokumentu trzebnickiego z r. 1204 jest nieskazitelny (niewątpliwy autentyk i w oryginalnym tekście zachowany), gdy dokument staniątecki z r. 1254 wiele w tym kierunku pozostawia do życzenia. Autentyczności dokumentu zresztą nie kwestionuję, choć interpolacje nie są wykluczone, co zmusza do wzmożonej ostrożności, ale nie narzuca z góry pełnego pesymizmu. A nawet przeciwnie uważam, na podstawie mojej dotychczasowej znajomości dokumentów staniąteckich, a dokumentu z r. 1254 w szczególności, dokument ten za obiekt naukowy wysoce interesujący i ze wszech miar godny studiów szczegółowych, których,

jak dotąd, właściwie brak zupełny. W myśl jednak wypraktykowanej poprzednio przez innych i przeze mnie metody wolałbym tu raczej zastosowanie metody badań kompleksowych, a więc całość gospodarstwa staniąteckiego mających na widoku, gdyż to właśnie daje widoki lepszych i pewniejszych rezultatów. Studia nad samym narokiem, w dodatku z całym dotychczasowym kompleksem uprzedzeń i zastarzanych nawyków, mogłyby się okazać nawet niebezpieczne. Zwłaszcza jeżeli przyjmniemy z miejsca, jak to właśnie czyni K. Buczek w pominiętym poprzednio końcu zdania, że to co wydobędziemy z dokumentów staniąteckich „zaprzeczy wszystkim dotychczasowym teoriom naroku”. Może zaprzeczy niejednej z nich, a może nawet większości, czy zgoła wszystkim. Poco jednak to z góry zapowiadać? To wcale nie zwiększa naszego zaufania i przynagla nawet do wspominania dotychczasowych uchybień w treści i w formie poprzednich wystąpień K. Buczka. Na następnych, a więc już końcowych stronach, spodziewamy się końcowych konkluzji i te w istocie znajdujemy, jakkolwiek z pewnymi omówieniami, które, ze względu na formę wypowiedzi, nie budzą zresztą zastrzeżeń. Wspomnieliśmy już poprzednio, że zwrócenie uwagi na beneficja urzędnicze — w tym wypadku pod wpływem dokumentów staniąteckich — należy uznać raczej za szczęśliwe, gdy tymczasem równoległe do tamtego wykazywanie, że narok jest „instytucją o swoistym charakterze, przystosowaną do warunków gospodarczych i ustrojowych, których nie jesteśmy w stanie poznać w całej pełni wobec fragmentaryczności i lakoniczności zachowanych materiałów źródłowych” daje wrażenie impasu. Skoro mowa o stwierdzeniach staniąteckich, to o nich słuchamy chętnie, ale sądzimy, że one nie zaprzeczają wcześniejszym i formalnie lepszym stwierdzeniom trzebnickim, a w takim razie są ich uzupełnieniem z lat późniejszych, gdy w istocie gospodarka grodowa, poprzednio raczej skupiona, przechodzić zaczęła na poszczególne beneficja, których zwłaszcza w krakowskim (dzielnica możnowładcza) była niezmierna obfitość.